

W drugim ćwierćwieczu XIX stulecia wiedzę o Rosji w społeczeństwie brytyjskim znacznie upowszechniały nadto liczne artykuły, broszury i opracowania poświęcone krytyce celów i metod prowadzonej przez nią polityki na Kaukazie, w rejonie wschodnich wybrzeży Morza Śródziemnego, w księstwach naddunajskich. Zawierały one również często uwagi o panującym w imperium rosyjskim despotyzmie i zacofaniu, w ogóle o jego niższości cywilizacyjnej. Szkoda, że autor ograniczył się tylko do opisowego przedstawienia oddziaływania prasy na brytyjską opinię publiczną w okresie konfliktów na kontynentach europejskim i azjatyckim, w których Rosja była głównym przeciwnikiem W. Brytanii. Statystyczne zestawienie poświęconych jej artykułów w prasie omawianego okresu, choćby w dziennikach o największym społecznym zasięgu, umożliwiłoby — jak się wydaje — bardziej precyzyjne określenie poszczególnych etapów rozwoju rusofobii. Obejmowała ona stopniowo coraz szersze rzesze społeczeństwa, mimo iż część prasy w niektórych latach odstępowała od krytyki polityki zagranicznej i wewnętrznej Rosji. Zmianę stanowiska części opinii publicznej o konserwatywnych poglądach spowodowała np. wizyta Mikołaja I w Londynie w 1846 r. W przeznaczonych dla niej dziennikach i periodykach pojawiły się pochlebne o państwie rosyjskim artykuły, a zarazem krytyczne komentarze dotyczące sprawy polskiej. Zmiana ta okazała się jednak krótkotrwała. Już bowiem na początku drugiej połowy XIX w. wzrost napięcia w stosunkach między obydwooma państwami pociągnął za sobą rozszerzenie się w społeczeństwie angielskim rusofobii na niespotykaną dotąd skalę i w jego konsekwencji przystąpienia W. Brytanii do wojny krymskiej.

Książkę Krautheima nietłatwo ocenić w jednym zdaniu. Jeśli chodzi np. o charakterystykę ewolucji stanowiska angielskiej opinii publicznej wobec sprawy polskiej, to nie zawiera ona też zmieniających dotychczasowe poglądy, lecz potwierdza względnie rozszerza ustalenia znajdujące się w innych pracach. Bezspornym jej walorem jest natomiast najpełniejsze w literaturze naukowej przedstawienie procesu narastania rusofobii w W. Brytanii i scharakteryzowanie czynników, które spowodowały jej gwałtowny wzrost w przededniu wojny krymskiej. Zaslugą autora jest również wykazanie, że rusofobia, mimo iż swymi korzeniami sięgała czasów wcześniejszych, szersze rzesze brytyjskiego społeczeństwa zaczęła opanowywać w drugim ćwierćwieczu ubiegłego stulecia, kiedy ich uwaga odwracała się stopniowo od kwestii europejskich ku sprawom bliskowschodnim i azjatyckim, na których nasilał się rosyjsko-brytyjski antagonizm. Dalszym osiągnięciem autora jest ukazanie wpływu rusofobii na decyzje władz brytyjskich w objętym badaniem okresie. W sumie zatem recenzowana praca, solidnie udokumentowana i napisana z dużą docieklivością badawczą, poszerza w istotnym zakresie dotychczasowy stan wiedzy o roli brytyjskiej opinii publicznej w pierwszej połowie XIX w.

Witold Molik

ELMER BENDINER: *Czas aniołów. Tragikomiczna historia Ligi Narodów*. Tłumaczył Jan Okopień, „Czytelnik”, Warszawa 1981, 552 ss. + ilustracje poza tekstem.

Od kilku już lat Wydawnictwo „Czytelnik” zapowiadało publikację tłumaczenia książki Elmera Bendinera. Kilka obszernych fragmentów tej pracy ogłosiła „Literatura” w lecie 1978 r. Autor jej jest dziennikarzem; z wielką swobodą posługuje się

warsztatem badawczym historyka, który wyzyskuje jednak w sposób pozostający w bliskiej styczności z wykonywanym zawodem. Prowadząc rozległą kwerendę bibliograficzną i archiwalną (tej ostatniej zapewne pozazdrości wielu historyków profesjonalnych) Bendinerowi chodziło nie tylko o usystematyzowanie rozległej przecież już wiedzy o Lidze Narodów (LN), ile o napisanie interesującej książki o politykach i polityce międzywojennej, do której z przyjemnością i pożytkiem zajrzy możliwie duża liczba potencjalnych czytelników. Jeśli taki zamiar przeświecał autorowi, to w znacznej części zdołał go zrealizować. Książkę czyta się przyjemnie. Napisana ze swadą, zawiera sporo mało znanych, nierzadko pikantnych opisów faktów i zachowań. Niezawodnie przybliży ono tło, na jakim rozgrywała się w okresie międzywojennym jedna z kampanii o niedopuszczeniu do nowej wojny.

Praca składa się z czternastu rozdziałów. Większość tytułów jest bardzo sugestywnych i dobrze informujących o centralnej sprawie, na jakiej skupił się autor (np. *Opuszczona w powiciu* — chodzi o rezygnację USA z udziału w pracach Ligi; *Wkraczają Samuraje* — dotyczy agresji Japonii w Mandzurii; *Rozbrajające złudzenie* — tj. niepowodzenie prac rozbrojeniowych itd.). W ostatniej części książki zatytułowanej *Bóg i historia nie zapomną...* Bendiner omówił perypetie Ligi w związku z agresją włoską na Etiopię. Należy zwrócić uwagę, że formalne zaangażowanie się Ligi w ten konflikt wygasło niemal dziesięć lat przed likwidacją tej organizacji. Jednoznacznie z tego wynika, że autor nie zajął się w pracy Ligą Narodów jako instytucją, a jedynie jej rolą odgrywaną w stosunkach międzynarodowych. Przy takim założeniu cezury ograniczające ramy pracy mogą być uznane za uzasadnione. Nie znaczy to, by nie budziły wątpliwości. Zapewne dały one o sobie znać już w trakcie prac redakcyjnych, kiedy wyłonił się problem opracowania wstępu będącego dwudziestostronicową historią Ligi Narodów. Piszący ten wstęp Wiesław Balcerak pomieścił w nim także kilka trafnych opinii o samej książce

„[...] charakteryzującej się przewagą elementów efektywnej i sugestywnej narracji nad ścisłością faktograficzną oraz historycznie uzasadnioną dedukcją, interpretacją prezentowanych ocen” (s. 5).

W. Balcerak np. słusznie wytyka autorowi dość niefrasobliwy osąd, że Liga powstała jako wynik wojen politycznych będąc od początku „szlachetnym nieporozumieniem”. Do powyższej uwagi dołączyłbym także to, że Bendiner niemal połowę swej pracy poświęcił na narodziny owego „szlachetnego nieporozumienia”. Nie chodzi w tym przypadku o przybliżone nawet proporcje między okresem narodzin i kształtowania się Ligi Narodów oraz jej działalności i odzwierciedlenia tych proporcji na kartkach książki. Jest to w końcu sprawa podejścia do tematu. Ponadto Bendiner pisał książkę dla określonego, przede wszystkim amerykańskiego, adresata. Jego (ich) głównie zajmował (szczególnie w konwencji pisarskiej przyjętej przez Bendinera) udział Stanów Zjednoczonych w procesie tworzenia nowych struktur międzynarodowopravných. Kongres USA, dystansując się do instytucji genewskiej, uczynił z Ligi twór zdecydowanie mniej atrakcyjny dla czytelnika amerykańskiego. W tym sensie przyjęty przez Bendinera podział pracy na dwie główne części (narodziny i działalność) rozumiem, choć nie mogę uznać go za przekonujący.

Wiele różnorakich skojarzeń musi budzić sam tytuł pracy. Wydawca polski oddał wiernie tytuł oryginału. Jak jednak go rozumieć? Nie podejmuję się interpretacji uznając, że nie zadowolę potencjalnego czytelnika, który na podstawie własnej wiedzy i wyobraźni może pójść zasadniczo odmiennym torem rozumowania. Chciałbym jednak podkreślić, że odniosłem wrażenie, iż pierwsza część książki

poświęcona narodzinom Ligi jest w gruncie rzeczy tragiczna (szczególnie jaskrawo widoczna z personalistycznego punktu widzenia). Czyżby — mechanicznie i nieprecyzyjnie dzieląc słowo tragikomedii na dwa... — lata międzywojenne Ligi były komiczne albo nawet tragikomiczne? A jeśli tak — to dla kogo, a przede wszystkim dlaczego?

Wokół skojarzeń wywołanych samym tytułem pracy i wynikającym zeń sposobem traktowania Ligi przez Bendinera można by rozwinąć dyskusję o dość podstawowym znaczeniu. Ironiczny w wielu fragmentach stosunek autora do Ligi wiąże się lub — być może — wynika z założenia o podmiotowości Ligi Narodów jako organizacji międzypaństwowej obciążonej przez Wilsona obowiązkiem utrzymania pokoju światowego oraz załatwiania wszelkich sporów międzynarodowych. Z założenia tego wynika irracjonalne w gruncie rzeczy przypisywanie Lidze funkcji, jakich nie mogła ona spełnić, będąc jedynie i tylko dobrowolnym stowarzyszeniem całkowicie suwerennych elementów (państw — członków). Sekretariat, Rada, Zgromadzenie nie miały być i nie były rządem czy parlamentem świata. Nie mogły zatem ponosić odpowiedzialności, jaką przywykliśmy w trakcie badań historycznych obarczać rządy, parlamenty poszczególnych państw. Liga nie miała własnej moralności politycznej ani własnej polityki. Była mniej lub bardziej doskonałym odwzorowaniem, nierzadko funkcją, polityki czterdziestu lub pięćdziesięciu kilku rządów, głównie Europy, ale także pozostałych kontynentów. Uzyskanie jednomyślnych opinii i stanowisk przy obiektywnie istniejących rozbieżnościach nie było sprawą łatwą ani prostą nie tylko w Zgromadzeniu, ale i węższym gremium Rady. Jeśli przeto koniecznie w historii musimy rozdzielać nagrody i kary, to w tym konkretnym wypadku wieńiec laurowy należy się licznym rzeszom szermierzy idei Ligi z Wilsonem, Cecilem, Drummondem i in. na czele, natomiast obciążający rachunek wystawić trzeba rządowi państw, niezdolnym do wcielenia tej idei w czyn. Nie znaczy to wcale, iż osiągnięcie celów wyluszczonej w Pakcie Ligi uznać można za sprawę prostą. Największych hurra-optimistów dostatecznie silnie trzymają na wodzy doświadczenia obejmujące kilka ostatnich dziesięcioleci. Ciekawe przy tym, że współcześnie niewielu formuluje pod adresem ONZ zarzuty, które tak często stawiano i nadal stawia się Lidze Narodów. Tylko pozornie porównanie to nie ma sensu.

Powyższy wywód, nie wnoszący przecież niczego nowego do wiedzy o problemie, wywołany został propozycją nowego tytułu, który wydaje mi się bardziej precyzyjny, a przy tym uwzględniający stylistykę Bendinera. Oto on: *Genewskie obserwatorium. Tragikomiczna historia okresu międzywojennego*. Propozycja ta wynika z tego, że autor daje nam przede wszystkim (szczególnie w drugiej części książki) opis perypetii Ligi próbującej znaleźć konstruktywne miejsce w tradycyjnej grze politycznej, głównie mocarstw. Sama Liga nie funkcjonuje w tym opisie jako twór autonomiczny (może jedynie poprzez wyeksponowaną rolę Drummonda), ale jako teren, na którym tak i tak postępował proces przybliżania się kolejnej wojny światowej. Nie tyle jest zatem w książce sama Liga Narodów, ile polityka światowa z udziałem Ligi.

Mając na uwadze powyżej wyłożone zastrzeżenia co do generalnego, założonego przez autora stosunku wobec instytucji genewskiej, muszę podkreślić solidną faktografię książki oraz jej niewątpliwe walory literackie. Z rzadka przy tym pióro prowadziło autora, choć parę przykładów graniczących z literaturą mógłbym wskazać. Oto np. Bendiner pisze, że amerykański sekretarz stanu Stimson zamieszkał w Chateau de Bessinges, „po drugiej stronie jeziora, skąd rozpościerał się znakomi-

ty widok na salę, w której miały toczyć się obrady Konferencji Rozbrojeniowej" (s. 388). Z merytorycznego punktu widzenia informacja powyższa ma dość ograniczone znaczenie. Przez obserwację sali obrad Konferencji Rozbrojeniowej Stimson niewiele mógł zyskać. A nadto jeszcze mam wątpliwości, czy bez pomocy lunety dostrzegłby „przyklejony” do Palais de Wilson szklany budynek bez architektonicznego wdzięku przypominający bardziej „palmiarnię” niż gmach gromadzący największą po konferencji pokojowej w Paryżu liczbę dyplomatów.

W innym miejscu autor opisuje wyjście Japonii z Genewy podkreśla, że wprawdzie zgodnie z Paktem wymagane było dwuletnie wypowiedzenie, „ale był to już tylko szczegół techniczny; kiedy Matshoka opuścił salę obrad, Japonia wyszła wraz z nim” (s. 373). Literacko opis ten jest bardzo plastyczny. Uważam za swój obowiązek uzupełnić ten fragment informacją, że Japonia znajdowała się w rządzie tych państw, których przedstawiciele (choć *à titre personnelle*) angażowali się w prace szeregu komisji LN. Wiele przykładów świadczących o tej tendencji znajdziemy w *Annuaire de la SdN* wydawanych w Genewie przez G. Ottlika. Zatem istotnie Japonia wyszła z Ligi, ale nie zerwała z nią kontaktu w stopniu równym np. Argentynie, Brazylii czy nawet Rzeszy.

Cechą charakterystyczną omawianej pracy jest swego rodzaju paternalistyczno-protekcjonalny stosunek autora nie tylko do Ligi jako instytucji, ale głównie do polityków silnie przez swą aktywność związanych z Genewą. Raz po raz skłonny byłem widzieć u autora uszczypliwy ton wobec zastraszonych wizją niemieckiego rewanżu polityków francuskich. Doszukiwałem się — być może podświadomej u autora — solidarności anglosaskiej, będącej funkcją polityki brytyjskiej i biznesu amerykańskiego w odniesieniu do Republiki Weimarskiej. Ten jednorodny zrazu podział musiał ulec zmianie w tym sensie, że Bendiner nie skąpił ostrych, pejoratywnych lub lekceważących opinii także politykom innych państw — Imperium Brytyjskiego nie wyłączając. Odniosłem wrażenie, że nieco lepszą opinią cieszą się w książce politycy specjalnej kategorii, np. Hitler czy Mussolini. O żadnym z nich w każdym razie nie napisano tak, jak o Briandzie, choć podstaw z punktu widzenia atrakcyjności czytelniczej nie było wcale mniej. Otóż, kiedy młody Briand zamierzał zostać marynarzem śródlądowym, jego ojciec — źle prosperujący oberżysta

„[...]zabronił mu żywić tego rodzaju aspiracje. W rezultacie Briand musiał zapewnić sobie byt jako prawnik, polityk, dziennikarz, deputowany i — od czasu do czasu — premier i minister spraw zagranicznych Francji” (s. 293).

Jeszcze mniej dobrego wiązało się z osobą Barthou, który wszedł wiosną 1934 r. na scenę rozbrojeniową „jako anioł zniszczenia, miotający kamieniami we wszystkich kierunkach”. Stimson po rozmowach z pierwszym delegatem Francji musiał odnieść wrażenie kontaktu jak gdyby „ze swawolnym jeżozwierzem”. Ukształtowane pod wpływem tych określeń wyobrażenie czytelnika o Barthou rozmywa się w związku z jego „imponującym przemówieniem”, po którym wszakże John Stimson musiał spakować walizki, gdyż nie widział możliwości

„[...]zaspokojenia niemieckiego żądania zbrojeń, francuskiego bezpieczeństwa i anglo-amerykańską awersję do podejmowania zobowiązań. Konferencja ciągnęła się wypełniona beładną gadaniną, a Barthou kontynuował swoje igraszki słowne zostawiając kolce w skórze swoich wrażliwych kolegów” (s. 417).

Poszukiwanie winnych za rozwój sytuacji międzynarodowej w okresie międzywojennym ma odległą metrykę i bardzo licznych reprezentantów. Odnoszę wrażenie (piszę to ponownie z całą świadomością użytego określenia), że dominujące

nad Sekwaną przekonania na ten temat nie zdołały zmajoryzować anglosaskiej kultury humanistycznej i politycznej autora. Sądzę, że przejawiała się ona także w ocenie dwóch wielkich indywidualności Ligi Narodów — Drummonda oraz wieloletniego szefa Międzynarodowej Organizacji Pracy (MOP) Alberta Thomasa. Działalność Francuza została wyniesiona wysoko, gdyż przy jego osiągnięciach „polityczne zwycięstwa Ligi wyglądały niepoważnie, a jej porażki — deprymująco” (s. 284). Pomijając drugorzędną w tym przypadku merytoryczną stronę zagadnienia i trudne do wymiernej oceny zasługi LN i MOP, na stronie następnej czytamy: „choć ILO była w istocie wydziałem Ligi Narodów, w oczach Thomasa stanowiła udzielne księstwo, a on sam był jej wielkim księciem” (*a propos* — pisanie o MOP per „wydział Ligi” nie wytrzymuje krytyki). „Kwatera główna Thomasa zaćmiewała swoim blaskiem siedzibę samej Ligi” (s. 284), ale zarazem siedziba jego to „wdzięk dobrze wyposażonego opactwa” (s. 285).

Sygnalizowany powyżej sposób ujęcia tematu przez E. Bendinera zmuszał go do nasycań książki sugestywnymi wątkami personalistycznymi. Wiele z nich pobudza wyobraźnię stanowiąc przykład efektownego posługiwania się piórem. Choćby — Briand i Stresemann — dwaj synowie oberżystów spotkali się w oberży w Thoiry...

Zdarza się jednak, że dążąc do plastycznych opisów autor eksponuje cechy osobowościowe o drugorzędnym znaczeniu. Incydentalnie wspomniany Gabrielle D'Annunzio — to „błyskotliwy poeta, kochanek, tenor operowy i polityk amator” (s. 264). O ile wiem, D'Annunzio był takim samym tenorem operowym, jak ogół Włochów rozmiłowanych w śpiewie, kochankiem istotnie wrażliwym (choćby jego związki z Eleonorą Duse) i politykiem amatorem jak wielu, bardzo wielu mu współczesnych, którzy nie wzrastali w rodzinnej atmosferze dyplomatów. Wszystko to prawda, ale powierzchowna, gdyż D'Annunzio — to nie tyle i tylko poeta i pisarz, ale brawurowy lotnik, kawaler *Medaglia d'Oro*, żywa legenda, zanim na firmamencie włoskiego życia politycznego pojawił się faszyzm.

Pewne wątpliwości może wzbudzić podkreślony przez Bendinera młody wiek najbliższych, pierwszych współpracowników 42-letniego Drummonda. Uzasadniając ten pogląd, autor wskazał na rolę Amerykanina Raymonda B. Fosdicka (35 lat), byłego cywilnego doradcy gen. Pershinga, oraz 30-letniego Francuza Jeana Monneta — członka Najwyższej Rady Ekonomicznej w czasie wojny i dyrektora francuskiej organizacji zaopatrzeniowej w Londynie. Pogląd ten jest słuszny w tym sensie, że ludzie mniej zaawansowani wiekiem stanowili trzon sztabu tworzącego Ligę od strony formalno-organizacyjnej. Nie bez powodu chyba także szefem jednej z najbardziej nowoczesnych sekcji Ligi — mianowicie informacyjnej — został 27-letni H. R. Huston. Także kilku innych szefów sekcji w 1919 r. miało — uwzględniając tradycję silnie zakorzoną w świecie dyplomatycznym — stosunkowo niski wiek: Salter (38), Comert (39), Attolico (39), van Hamel (39), Mantoux (42), Colban (43). Były to więc osoby mniej więcej równe wiekowi sekretarza generalnego. Ale w składzie sekretariatu znaleźli się w 1919 r. także politycy o dużym doświadczeniu, jak Anzilotti (50 lat), Nitobé i Ames (po 56 lat). Nie można przy tym zapominać, że Liga weszła w wiek dojrzały około 1924 r.

Niektóre nieścisłości występujące w tekście zostały skorygowane przez Krzysztofa Michała w formie przypisów. Większość ich odnosi się do ewidentnych potknięć autora, jak chociażby wymienienie wyspy Rodos obok Dodekanezu (s. 176) czy też użycie „nazwy Związku Radzieckiego w kontekście spraw roku 1920” (s. 235). Wytknięcie takich nieścisłości jest całkowicie uzasadnione. Mają one jednak przede

wszystkim faktograficzny, może nawet formalny charakter. W większości przypadków przypisy wyjaśniają sprawy mniej znane, nierzadko bardzo szczegółowe. Ułatwiają one lekturę, zwłaszcza osobom o bardziej powierzchownej znajomości historii powszechnej bieżącego stulecia. Wracając jednak do sprawy „nazwy Związku Radzieckiego”, zwróciłbym uwagę na występującą tam inną nieścisłość, a mianowicie stwierdzenie, że z krajem Rad „ani Liga, ani żadne z wielkich mocarstw nie utrzymywały stosunków dyplomatycznych”. Przecież Liga z żadnym państwem nie utrzymywała stosunków dyplomatycznych!

Innym przykładem przypisu wzbudzającego pewne wątpliwości jest zarzut stawiany Bendinerowi o optymizm „co do znaczenia i pozycji Ligi Narodów bez obecności w niej Stanów Zjednoczonych i Związku Radzieckiego nie zawsze jest podzielany w literaturze tematu wydawanej w Polsce i krajach anglosaskich” (s. 266). Nie wiem, o jaką literaturę wydawaną w Polsce mogłoby chodzić. Natomiast powołanie się na „obszerną monografię” F. P. Waltersa niczego nie załatwia. Nadzieje na rychłe wejście Stanów do Ligi były w Genewie i stolicach życzliwych tej instytucji powszechne i trwałe. Natomiast w odniesieniu do 1923 r. — którego dotyczy „uzupełniany” przypisem tekst — zasadniczo różnie odnoszono się do niezbędności udziału w pracach genewskich drugiego wielkiego mocarstwa. Najważniejsze jednak w tym wypadku jest to, że — moim zdaniem — K. Michałek zarzuca Bendinerowi optymizm, którego on wcale nie jest reprezentanem pisząc, że Liga

„[...] okazała się niezmiernie przydatna — nawet bez obecności Amerykanów, Niemców czy Rosjan. Był to sukces znacznie przekraczający oczekiwania większości obserwatorów, którzy uważali, że Liga stała się ofiarą dzieciobójstwa dokonanego rękami wyborców amerykańskich”.

Z tym poglądem Bendinera zgadzam się w całej rozciągłości. Podkreślam ponownie, że opinia ta odnosi się do lat 1920 - 1923, kiedy — mimo niewątpliwych likwidatorskich zapędów republikańskiej dyplomacji USA — Liga nie rozpadła się wnosząc pewien, liczący się wkład w rozwój stosunków międzynarodowych.

Zbędny, przynajmniej w części, wydaje mi się przypis informujący o wynikach konferencji waszyngtońskiej (s. 333), gdyż wcześniej Bendiner pisał o tym wydarzeniu. Trudno zrozumieć, dlaczego kilkuwierszowe objaśnienie dotyczące Matthiesa Erzbergera pojawiło się na s. 192, podczas gdy nazwisko to figurowało już kilka razy wcześniej.

Opracowując przypisy wytknąłbym Bendinerowi błąd popełniony na s. 431 gdzie pisze, że w lutym 1935 r. Laval konferował z Mussolinim i zawarł z nim porozumienie — choć dodałbym, że autor sam się poprawił nieco dalej podając właściwą datę rzymskiej wizyty (s. 474). Zwróciłbym uwagę na mylnie podaną datę wydania książki Léona Bourgeoisa, *Pour la Société des Nations*, której pierwsze wydanie ukazało się nie w 1908, lecz 1910 r. (s. 40). Kilka wierszy poświęciłbym na akapit, z którego wynika, że Argentyna opuściła Ligę w związku z przyjmowaniem Niemiec do Ligi (s. 421). Błąd polega na tym, że Argentyna wyszła z Genewy już w czasie I Zgromadzenia sprzeciwiając się instytucji stałych członków Rady i żądając pełnej równości wszystkich państw w „rodzinie narodów”. Natomiast w związku z przyjmowaniem Niemiec poczuł się dotknięty rząd Brazylii ludzony przez wiele lat realną możliwością uzyskania stałego miejsca w Radzie (szczególnie wobec reprezentowanego tam kontynentu azjatyckiego). Opuszczenie Ligi przez Argentynę w 1920 r., a następnie wyjście Brazylii w 1926 r., przy przynajmniej dyskusyjnym niezaproszeniu Meksyku do udziału w pracach instytucji genewskiej, sta-

nowią jedynie zamarkowany problem miejsca państw pozaeuropejskich w Lidze Narodów. Nie mógłbym zgodzić się z opinią Bendinera, że ograniczone uczestnictwo państw Ameryki Łacińskiej „w sprawach Ligi było powszechnie uważane za odbicie rezerwy Stanów Zjednoczonych” (s. 294). To powszechne odczucie było swego rodzaju kamuflażem w celu ukrycia roli, jaką mocarstwa europejskie przydawały innym państwom, w tym zwłaszcza z innych kontynentów. Wiele elementów bowiem złożyło się na to, że Liga Narodów była przede wszystkim organizacją mającą w sferze politycznej strzec systemu wersalskiego. Ten problem w istocie swej stał się rychło centralną sprawą najżywiej obchodzącą Genewę. W kontekście relacji Ameryka — Liga doniosłą rolę odgrywała troska polityków europejskich o respektowanie doktryny Monrogo, wymienionej zresztą z nazwy w Pakcie, i niezrażania Stanów Zjednoczonych stale „oczekiwanych” w zwaśnionej Europie.

Pierwszym poważnym krokiem, który potwierdziłby przybliżanie się Stanów Zjednoczonych do Ligi, miało być przystąpienie do Stałego Trybunału Sprawiedliwości Międzynarodowej (STSM). Rokowania wokół tej sprawy raz po raz wzniecały fale komentarzy zaprawianych optymizmem bądź pesymizmem. Bendiner nie poświęcił tej ciekawej kwestii baczniejszej uwagi. Jest to o tyle zrozumiałe, że w ogóle prace STSM nie znalazły jego uznania. Podkreślono przy tym, że wokanda Trybunału „rzadko była zatłoczona”. Za najbardziej dalekosiędną decyzję STSM uznano potępienie w 1931 r. unii celnej między Niemcami i Austrią, „ale jej efekt został zniweczony przez późniejsze wydarzenia militarne” (s. 287). Zapewne chodzi o *Anschluss*, który trudno zaliczyć do „wydarzeń militarnych”. Ponadto nie bardzo mogę się zgodzić z opinią uznającą decyzję z 1931 r. za „najbardziej dalekosiędną”. Zaliczyłbym ją raczej do najbardziej politycznie zabarwionych decyzji Trybunału, co nie wystawia mu dobrego świadectwa biorąc pod uwagę zakładany obiektywizm tej instytucji. Pamiętać trzeba, że STSM przedstawił swą opinię stosunkiem głosów sędziów 8:7. Stanowiska wyrażone przez sędziów — zwolenników i przeciwników prawa Austrii i Niemiec do Unii celnej — stały się przedmiotem wielu skrajnych komentarzy. Objęły one także amerykańskie środowisko prawnicze odsuwając zdawało się już bliskie przystąpienie USA do Trybunału (Kellogg był wśród sędziów mniejszości).

Sposób ujęcia temat przez Bendinera w pewnym stopniu tłumaczy to, że w książce niemal zupełnie pominięto rezonans społeczny, jaki wynikał z działalności Ligi Narodów. Chodzi mianowicie o bardzo liczne organizacje proligowe powstające już w czasie wojny, głównie w państwach anglosaskich, z dość reprezentatywnym udziałem polityków. Organizacje te, działające w dwudziestoleciu we wszystkich państwach, nawet nie będących członkami Ligi, wywierały pewien, choć głównie pośredni wpływ na niektóre decyzje poszczególnych rządów. O ich rozwój dbano także w Genewie. Zwraca zresztą na to uwagę Bendiner podając przykład profesora Uniwersytetu Jagiellońskiego Michała Rostworowskiego, pierwszego przewodniczącego Polskiego Towarzystwa LN, którego w konsekwencji 1920 r. nazywa „oczami i uszami sir Erica w tym mieście” (s. 261). Opinia ta, sformułowana w oparciu o papiery Drummonda, znajdujące się w Genewskim Archiwum LN, zapewne ma jakieś podstawy. Niemniej — choć Kraków był miastem określonej rangi — nie można chyba wysuwać wniosku, że sekretarz generalny stworzył na globie siatkę informatorów będących jego „oczyma i uszami”.

O prof. M. Rostworowskim więcej w pracy nie wspomniano. Nie zaskakuje mnie to jednak z dwóch powodów. Jak już o tym wspomniano wyżej, o działalności STSM, którego sędzią w latach trzydziestych był M. Rostworowski, napisano bardzo niewiele. Po drugie, nie należał on do reprezentantów mocarstw będących

*de facto* bohaterami książki. Przedstawiciele mniejszych i średnich państw funkcjonują w pracy w charakterze niezbędnego tła dyplomatyczno-politycznego podkreślającego złożoność negocjowanych kwestii. Dotyczy to — może za wyjątkiem Fridjofa Nansena — takich osób, jak E. Benesz, P. Hymens, S. Madariaga, N. Titulescu, będących niewątpliwymi bohaterami wielu posiedzeń Rady czy Zgromadzeń. Podobny w gruncie rzeczy stosunek prezentuje Bendiner w odniesieniu do aktywności dyplomacji polskiej reprezentowanej w pracy (poza incydentalnymi wzmiankami) przez Becka, Piłsudskiego i Zaleskiego. Nie krytykują takiego ujęcia, gdyż jest prawem autora dokonywać wyboru najbardziej mu odpowiadającego. Uważam wszakże, że forum Ligi Narodów stanowiło ważny teren samodzielnej aktywizacji państw o mniejszym znaczeniu międzynarodowym. Temat ten zresztą nie został dotychczas przez historyków dostatecznie omówiony.

Pragnę przy okazji podkreślić, że występujące w pracy *polonica* rażą brakiem precyzji. Np.: „kiedy wybuchła wojna, car zaoferował Polsce autonomię” (s. 255). Na następnej stronie czytelnik może odnieść wrażenie, że Piłsudski w 1920 r. konferował z generałami w Lidze Narodów. Dalej czytamy, że „Polacy i Litwini w dalszym ciągu nie mogli zgodzić się, co wybrać...” — wiadomo, że Polacy na owym etapie dyskusji chcieli plebiscytu, natomiast dla Litwinów bezwarunkowy zwrot Wilna dopiero otwierał dalsze negocjacje.

Stosunki polsko-litewskie, obok problemu gdańskiego i ledwie zarysowanych w pracy kwestii mniejszościowych, najsilniej łączyły środowisko genewskie z Polską. E. Bendiner na tle skargi Litwy w 1927 r. i przyjazdu de Genewy „starzejącego się marszałka” podaje, że Piłsudski „nie był ani trochę bardziej taktowny na oficjalnych posiedzeniach Rady w dniu 10 grudnia 1927 r.” (ss. 258/259). Dla równowagi autor nie poskąpił też kilku uszczypliwych uwag Waldemarasowi, chociaż trudno się zgodzić z opinią o zachowaniu się Piłsudskiego w Genewie.

Wątpliwości może wzbudzić u czytelnika przedstawienie kryzysu na tle przyznania Niemcom stałego miejsca w Radzie i analogicznych żądań Brazylii, Hiszpanii i Polski (s. 310 i n.). Uważam, że dla jasności obrazu należało podkreślić niemal powszechne uznawanie racji rządu polskiego, który ze względu na zantagonizowane stosunki z Rzeszą widział się zmuszonym wejść do Rady równocześnie z delegacją niemiecką. Dopiero w tym kontekście można zrozumieć gest Czechosłowacji i Szwecji, które zgłosiły gotowość oddania swych miejsc w Radzie z zastrzeżeniem przekazania jednego z nich Polsce. Żądania stałych miejsc formułowane przez Brazylię i Hiszpanię miały mimo wszystko znamiona prestiżowe, natomiast Polski — bardziej praktyczne. Ogół członków Zgromadzenia tak widział ten problem dając temu wyraz w kolejnych głosowaniach nad kandydaturą Polski do Rady, w której pozostawała ona aż do własnej rezygnacji w 1938 r. Chociaż nie ma to fundamentalnego znaczenia, pragnę podkreślić, że wśród niestałych członków Rady Polska dość długo była w niej obecna. W okresie międzywojennym Hiszpania była w Radzie przez 16 lat, Polska — 12, Chiny — 11, Belgia — 10, Czechosłowacja i Szwecja po 7 itd. Sądzę, że zestawienie to posiada pewną wymowę.

Książka Elmera Bendinera znalazła wielu czytelników. Szybko zniknęła z księgarń mimo 20 tys. nakładu. Niezawodnie przyczyni się do głębszego poznania warunków, w jakich kształtowała się polityka światowa widziana z „genewskiego obserwatorium”. Wydawnictwu „Czytelnik” należą się gratulacje za to, że mimo znanych trudności wprowadziło na rynek dobrą i pożyteczną książkę.

Stanisław Sierpowski